ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 15-go Lipca 1897. Nr. 28.

„Swiatło" wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu na G. Ślązku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

X.
Przed bramami.

Tymczasem podług rozkazu cesarza Herakliusz polecił w kancelaryi przygotować dużo plakatów z programem uroczystości nadchodzących. Rozlepiono je przy wschodach palatyńskich, na słupach świątyń i łuków tryumfalnych i na rogach ulic. Jeszcze wprawdzie tydzień czasu było do uroczystości, lecz już cały Rzym, bogaci i biedni, wielcy i mali, zaczęli się niemi zajmować. Przed każdym plakatem stawali ludzie gromadami; jeden czytał głośno, inni słuchali. Gdzie się tylko przyszło, w łaźniach, na rynku, u kupców, wszędzie słyszeć było można rozmowy o walce gladyatorów, o igrzyskach zwierząt, wyścigach i teatrze. Każdy wspominał miana sławnych aktorów i siłaczy; zakładano się o wielkie sumy, kto w cyrku zwycięży. Chociaż coraz pewniejsze nadchodziły wieści, że Konstantyn w pospiesznych marszach do Rzymu się zbliża, nikt nie dbał o to. Nawet gdy Rufus pobite legie do bram Rzymu przywiódłszy, tutaj zajmował stanowiska, do stanowczej bitwy się gotując, Rzymianie myśleli, mówili i marzyli o nadchodzących uroczystościach.

Całe miasto naśladowało w istocie tylko lekkomyślność cesarza. Maksencyusz bowiem, przepowiedniami wróżbitów i kapłanów upewniony w nadziei zwycięstwa, odrzucił plan wodza, ażeby między miastem a Tybrem czekać na przeciwnika i szeroką a wartką rzekę uczynić niejako naturalną obroną. Natomiast nakazał rozbić obóz i oszańcować go po tamtej stronie rzeki i tylko na usilne nastawanie wodzów pozwolił powyżej mostu milwyjskiego zbudować most z łodzi. Na Palatynie, w pałacach cesarskich, uczty następowały po ucztach; Maksencyusz biesiadował z oficerami i w tem największą przyjemność upatrywał, gdy gości swoich jak najbardziej upić potrafił. Od czasu do czasu widziano go otoczonego liczną świtą, jak ulicami miasta do obozu wyjeżdżał, aby brać udział w igrzyskach wojskowych. Nigdy przy tem nie zapomniał, zarzucić sobie skóry lwiej na ramiona. Gdy nadeszła wieść, iż Konstantyn za dzień lub dwa stanie u bram Rzymu, a okręty jego już dopłynęły do Centumcellae (dzisiejszej Civitavecchii), cesarz zmięszał się nieco i na chwilę strwożył. Lecz wspomniawszy na wyrocznię mianowicie z wnętrzności zamordowanego dziecka daną, porzucił czarne myśli i był pewnym zwycięstwa.

Cóż dziwnego, że przeważna część Rzymian naśladowała cesarza, żyjąc bez troski o jutro! Od dawna już przywy-

kli do tego, że wojsko rozstrzygało o ich losie. Przy tem tysiące obywateli było takich, którzy w razie politycznej zmiany niczego nie mogli stracić; czy zwycięży Maksencyusz czy Konstantyn, zawsze będą mieli w najbliższym czasie wspaniałe uroczystości i otrzymają podarunki, od tryumfu nieodłączne.

Nikt jednak nie oburzał się na Maksencyusza więcej od Symacha, chociaż nikt tak w klęskę Konstantyna nie wierzył, jak on. Bogowie pozwolili dawniej, że Hannibal aż pod bramy Rzymu przybył, że Brennus miasto zdobył, lecz potem stanęli w obronie Rzymu i zniszczyli potęgę nieprzyjaciela; tak też stanie się teraz. Symachus wierzył w to tak mocno, jak w samych bogów. Lecz Rzym dał ostatnią kroplę krwi w walce przeciwko Hannibalowi i Brennusowi; co natomiast uczynił Maksencyusz, aby ołtarze i ogniska bronić przeciwko wrogowi bogów? Gdybyż przynajmniej, zamiast nadzieję swoję na czarodziejstwach i innych grzesznych zabobonach zakładać, złożył był ofiary bogini Zwycięstwa i innym bogom! — Symachus zaczął od czasu rozmowy z Laktancyuszem wierzyć, iż bogowie używają Konstantyna za narzędzie do uwolnienia Rzymu od tyrana, ażeby następnie przez innego, wierniejszego bogom męża zniszczyć i zwycięzcę. Któżby to mógł być między senatorami? Napróżno rozpatrywał się Symachus, u tego znajdował tę, u innego owaką przeszkodę. Czyżby on sam nie mógł być upatrzony przez bogów? Co do starożytności rodu mało senatorów mierzyć się z nim może; w bogactwie wszystkich przenosi; co zaś do zalet duszy i serca, zaiste Symachus potrafiłby kierować państwem mądrze i energicznie. Cóż dziwnego zatem, że myśli o cesarskiej koronie od siebie nie odsunął? Skoroby go bogowie do tego powołali, jak on to zewnętrznych i wewnętrznych nieprzyjaciół Rzymu zniszczy, jak nowym blaskiem ozdobi świątynie bogów, jak podniesie naród rzymski do dawniejszej zacności! Jak drugi Trajan będzie żył tylko dla szczęścia swojego narodu!

Temi myślami zajęty spotkał dnia jednego na rynku starego swojego nauczyciela Laktancyusza i wskazując na złotem błyszczącą świątynię Jowisza i zamek na Kapitolu, zawołał:

— Możeszli sobie wyobrazić, ażeby z tej świątyni i z tego zamku kiedyś ani śladu nie pozostało, — albo co gorsza, że zamiast Jowisza będą tam czcili ukrzyżowanego boga chrześcian, zaś na gruzach zamku barbarzyńcy z północy rozepną swoje namioty? Tak samo jest rzeczą niemożliwą, aby Konstantyn stał się panem Rzymu! Może dojść aż do bram miasta, — lecz wtedy nastąpi zwrot!

Gdy Laktancyusz pierwszy raz z Symachem się spotkał, nie powiedział mu, że jest chrześcianinem. Teraz jednak postanowił na pytanie jasno i otwarcie odpowiedzieć. Rzekł przeto:

— Pozwól, że i ja ci zadam pytanie, szlachetny Symachu: A gdy Konstantyn Rzym zdobędzie, czy uznasz wtedy za rzecz możliwą, że bóg chrześcian zrzuci twoich bogów z tronów a na gruzach ich świątyń wzniesie dla siebie ołtarze? Ja nie tylko to za możliwe uważam, lecz jestem zupełnie przekonany, że się tak stanie.

— Widzę, odpowiedział z uśmiechem senator, — że poetyczny żar twojej wyobraźni nie ochłódł na stare lata.

— Nie, nie, szlachetny Symachu, odrzekł Laktancyusz, nie żartuję ani nie marzę; jak prawda zwycięża nieprawdę, tak Chrystus zwycięży wszystkich twoich fałszywych bożków.

— Ha, jak mam pojmować twoje słowa?

— Zbadałem nauki wszystkich mędrców świata, — rzekł na to z powagą Laktancyusz, — a czego oni mnie nauczyli było tylko mdłem światełkiem, tlącem w latarce. Wtem poznałem naukę chrześciańską i oto zeszło mi słońce prawdy a to słońce zwycięży mroki nocy, zalegające dziś jeszcze cały świat, nie wyłączając Rzymu.

— Nie zazdroszczę ci słońca owego żyda, którego obłęd ludzi na wschodzie bogiem uczynił, — odpowiedział z gorzką

ironią senator, — ja nad ukrzyżowanego zbrodniarza przekładam nieśmiertelne bogi, które Rzym wielkim uczyniły.

— Większym będzie pod panowaniem krzyża, odrzekł Laktancyusz. Władając nie ciałami, lecz duchami i sercami wyleje Rzym światło prawdy na cały okręg ziemski a narody wszystkich języków złączy w jednem królestwie Bożem.

— Rzym u stóp ukrzyżowanego z Nazaretu! — zawołał Symachus. Żałuję, że mąż, którego ducha niegdyś podziwiałem, mógł się tak zbłąkać w swych myślach. Ponieważ zaś, — dodał, — nienawidzę wszystkiego, co nosi miano chrześciańskie, przeto odtąd nie będziesz mnie nagabywał twoją obecnością.

To powiedziawszy odwrócił się od chrześcianina i udał się w stronę Kapitolu.

Do głębi duszy zasmucona i jedynie myślą o chorym ojcu zajęta, zwróciła się Walerya po spotkaniu z Rustyką ku domowi. W ciężkiem nieszczęściu serce ludzkie mniej się skłania ku nadziei, aniżeli ku trwodze, że się stanie coś najgorszego i najsmutniejszego. Dla tego zdawało jej się, że ojciec już umarł albo też, że lada moment ducha wyzionie. Uważała, że sobie życzyć należy, ażeby Rustyka przyniosła jej wiadomość o śmierci, w takim razie bowiem skończyłyby się jego cierpienia.

Doszedłszy przeto aż do miejsca, gdzie droga zwracała się ku Awentynowi, gdzie Irena mieszkała, stanęła i chwilę rozważała, potem rzekła sama do siebie:

— Jutro będę miała męczennika do pogrzebania; pójdę przygotować mu grób przy grobie matki.

Zaraz też udała się ulicą, wiodącą ku bramie apijskiej i ku katakumbom. W drodze spotkała człowieka, który w jednym domu z nią na Awentynie mieszkał. Skorzystała z tej sposobności, ażeby Irenie posłać wiadomość, że poszła przygotować grób ojcu; ma być spokojną i nie trwożyć się, gdy Walerya do wieczora nie wróci. Nie domyślała się biedna, że właśnie w tej chwili cesarscy oprawcy matczyną jej opiekunkę z domu do więzienia brali.

Jakkolwiek więzienie, do którego Irenę wtrącono, było okropne, biedna niewiasta nie wiele na to zważała. Serce jej napełnione było niezmiernym żalem. Tak wiele już przecierpiała, lecz ostatnie doświadczenia, które tak niespodzianie niebo jej zesłało, zdawały jej się najcięższe. Ileż to razy towarzysząc w pobożnym podziwie męczennikom na miejsce męki lub grzebiąc ich ciała, pragnęła w świętej tęsknocie, aby dla Chrystusa również umrzeć mogła. A teraz, gdy Niebo podawało jej palmę męczeństwa, — ręka jej drżała, czy ją podjąć.

— Miłosierny Boże, — jęczała Irena, — pozwól mi jeszcze raz zobaczyć mojego syna, potem umrę chętnie. Czyż uratowałeś go z tylu niebezpieczeństw tylko na to, aby wszystkich swoich najdroższych, nawet matkę, w grobie zastał, gdy wróci?... Niech się dzieje wola Twoja, o Panie! Korzę się przed Tobą i podaję głowę pod nóż ofiarny; ostatniem westchnieniem mojem będzie modlitwa za moje jedyne, drogie dziecko, za mojego Kandyda. — A gdy on wśród wrzawy tryumfu zawoła na swoją matkę, aby tę dobrą mateczkę, która go tak kochała, wziąć w ramiona i gdy mu wtedy zamiast mnie, tylką krwawą moją przez lwa podartą szatę pokażą, mówiąc: »Oto suknia twojej matki«, — wtedy, mój Boże, pozwól mi być blisko niego, abym duszę jego pocieszyła i ból jego złagodziła. Bądź zdrów, mój synu, życie mego życia. Bóg chce, abyśmy się dopiero w Niebie ujrzeli; wychwalaj razem ze mną najświętszą jego wolę! Błogosławieństwo twojej starej matki towarzyszy ci, mój synu, przez całe życie, a gdy raz Pan do Siebie cię powoła, o wtedy mateczka twoja będzie cię oczekiwała u bram niebieskich«.

Irena myślała także o Waleryi i to pomnażało jeszcze jej smutek. Z dnia na dzień stawało jej się to dziewczę droższem z jej wielką boleścią i stałością, to dziecko męczenniczki i wy-

znawcy, które w najboleśniejszem męczeństwie matkę i ojca Niebu na ofiarę złożyło. W codziennem pożyciu wytworzyła się między niemi najczulsza przyjaźń. Walerya znalazła w Irenie matkę a Irena nazywała Waleryę córką. Niepostrzeżenie też powstało w duszy Ireny słodkie życzenie, a im lepiej Waleryę poznawała, tem bliżej stawiała ją w myśli przy synu swoim; to by było niejako dopełnieniem szczęścia, jakiego sobie dla syna życzyła. Tymczasem teraz nie mogła Waleryi nawet pożegnać. Biedne dziewczę traciło równocześnie z ojcem także przyjaciółkę, zastępującą jej matkę.

nymi gankami miasta umarłych, znalazła niebawem grabarzy, zajętych przygotowywaniem wspólnego grobu dla tych, którzy nazajutrz w cyrku zginąć mieli. Po latach względnego pokoju, były to pierwsze ofiary, które miało dostarczyć prześladowanie do katakumb; któż mógł przewidzieć, ile ofiar poświęci okrucieństwo tyrana?

Na prośbę Waleryi udało się kilku robotników z nią, aby przy grobie Sofronii wykuć grób dla Rufina.

Ze łzami w oczach patrzała dziewica, jak jama wykuwana młotami coraz więcej się powiększała. Tam spocznie jej ojciec! Jak bolesną dla niej była



ŚNIADANIE Z KOTKAMI.

Całą noc spędziła Irena na modlitwie i dopiero nad ranem uspokoiła się i poddała wyrokom Boskim; ofiara była spełniona: Bóg jedynie wiedział z jak zakrwawionem sercem. W niewypowiedzianie gorących modłach ofiarowała Irena siebie i swoje męczeństwo za syna, prosząc Niebo o błogosławieństwo dla niego.

Walerya tymczasem pół godziny drogą apijską idąc, doszła do cmentarza Kaliksta i niepostrzeżona weszła do podziemi tajnem wejściem, którem po zasypaniu głównego wejścia przez żołnierzy, jedynie wejść można było.

Od młodości zapoznana z podziem-

strata ojca, tak pociechą ją napawał widok słów, które ojciec jej swego czasu w ścianie wyrył: »Semper vives Deo, będziesz wiecznie żyła u Boga«. Ojciec jej umarł jako chrześcianin, jako męczennik. Walerya poznała palec Boży i działanie łaski: musiała poświęcić matkę, aby ojca dla Boga pozyskać; czy teraz miała się opierać, gdy Niebo i jego samego wołało, aby mu podać palmę męczeństwa?

Godzinę przedtem, zanim Walerya do katakumb poszła, udał się Sabinus z towarzyszami apijską drogą, ażeby sobie obejrzeć cyrk, który strojono na nadchodzące uroczystości. Głównie

był ciekawy zobaczyć konie wyścigowe, które już nazajutrz miały się popisywać.

Setki niewolników były zajęte robotą; jedni usuwali niepotrzebny materyał i rusztowania, inni gładzili pstry pokład marmurowy na ścianach, inni przyozdabiali miejsce cesarskie i główne wejście wieńcami, inni nakoniec wysypywali tor wyścigowy piaskiem, zmięszanym z opiłkami miedzi.

Jako synowi prefekta kancelaryi cesarskiej nie trudno mu było wejść do stajni, gdzie długim rzędem przy pozłacanych żłobach stały konie przeznaczone na jutrzejsze wyścigi; tam rozmawiał Sabinus z parobkami i woźnicami, oglądał konie i w głowie sobie rozważał, na które konie można liczyć, że zwyciężą; chciał na nie stawiać w zakład wielkie sumy.

Obejrzawszy wszystko w cyrku, wyszedł z towarzyszami i wałęsał się po tabernach czyli winiarniach, psocił się dziewczętom z pobliskiej wsi i napastował podróżnych, którzy apijską drogą do miasta dążyli.

Wtem jeden z towarzyszów zawołał, ażeby wedrzeć się na cmentarz chrześciański, który w pobliżu znajdować się musiał a o którym tak wiele sobie w Rzymie opowiadano. Myśl ta spodobała się wszystkim i po niejakim czasie spotkali chłopaka, który za pieniądze przyrzekł im pokazać tajne wejście. Zaopatrzywszy się w pobliskiej wsi w pochodnie, ruszyła cała gromada ku katakumbom.

Gdy doszli do wejścia, ukrytego w krzakach, zawołał pierwszy:

— O tem zapomnieliśmy, jak ztamtąd wyjdziemy?

— Poślijmy chłopca do wsi po nici.

— To potrwa za długo, — zauważył inny, — a przytem to rzecz niepewna z nicią. Gdy ją nam chrześcianie przerzną, natenczas siedzimy w lochu. Mam lepszy sposób. Oto tu jest plakat, za pomocą którego boski Maksencyusz lud rzymski na jutrzejszą uroczystość zaprasza; ten można podrzeć na kawałeczki i znaczyć nimi drogę. W ten sposób zdołamy dojść tak daleko, jak długo nam papieru starczy.

Wśród śmiechu i wrzawy pocięto wielki plakat na kawałki i potem wszyscy zaczęli schodzić do podziemi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JAK POWSTAŁY NAZWY WSI I MIAST POLSKICH?

(Dokończenie.)

Do trzeciej grupy nazw należą oznaczające stan lub zatrudnienie, rzemiosło lub pochodzenie osadników, którymi byli słudzy panującego, klasztorów lub panów nazywani w dokumentach łacińskich: ministeriales, famuli, homines ducis, servi, illiberi. Pierwotnie wszelki przemysł wiejski, nawet tak prosty jak rybołóstwo, bartnictwo i polowanie na cenniejszego zwierza, był w całym kraju książęcy. Wszelkie bowiem wody i lasy należały do księcia panującego, który innych dochodów miał mało. Przez długi czas nawet klasztory i panowie nie mieli innych bartników i rybaków jak tylko za przywilejami książąt. Od ludzi tedy zajętych służbą, powstały nazwy wiosek: Bartniki, Bartodzieje, Skotniki (pasterze), Zduny (garncarze), Kowale, Sokolniki (dozorcy sokołów myśliwskich), Bobrowniki (dozorcy bobrów); Rybaki i Rybitwy (rybacy), Piekary (piekarze), Kobylniki, Stadniki, Konary (koniarze), Świniary, Owczary, Psary (psiarze), Żerniki (żarnowniki czyli wyrabiacze żaren do mielenia), Rudniki, Korabniki (budujący łodzie), Żelaźniki, Solniki, Rzeszotary (sitarze), Łagiewniki (wyrabiacze naczyń zwanych łągwiami), Szczytniki (którzy robili tarcze zwane szczytami), Smolniki, Smolarze, Szklary, Bednary, Kołodzieje, Kobierniki (tkacze), Sanniki,

Winiary. Słudzy klasztorni jak ich zwano: kuchary, piekary, strzelce, woźniki, rataje, oleśniki, i trawniki, tudzież kościelniki i świątniki, spełniając swe obowiązki zwykle z ojca na syna i odbywając służbę na zmianę, tworzyli oddzielne osady, które od nich dały początek dzisiejszym wioskom z podobnemi nazwami.

Podobnego rodzaju są i nazwy powstałe z rodowitości osadników: Prusy, Włochy, Płowce, Sasy, Czechy, Jaćwież, Ruś, Litewka, Lachy, Mazury, Tatary, Pomorzany, wreszcie najpóźniejsze, bo przez kolonistów niemieckich w czasach saskich, licznie na Mazowszu założone, Holendry. Nazwa Zagorzany pochodzi od ludzi, którzy uprawiali czyjąś ziemię położoną za górą, Wysoczany — na wyżynie, Dolany — w dolinie, Brzeżany — na brzegu, Jezierzany nad jeziorem.

Czwartą grupę stanowią nazwy będące imionami lub nazwiskami ludzi w 1-ym przypadku liczby pojedyńczej lub mnogiej. Nazwy te oznaczały wprost ludzi, którzy założyli osadę lub nadali jej pewne znaczenie. Tak mamy utworzone z imion: Szkalmierz (Skarbimierz), Sandomierz, Przemyśl (Przemysław), Kazimierz, Radom, (Radomysł), Radgoszcz, Wrocław, Włocławek (Wrocisław), Bydgoszcz (Bytgost), Zawichost, Jarosław, Sambor i t. d. W liczbie mnogiej: Bogusze, Bolesty, Bożyny, Wszebory, Tybory, Cibory, Sambory.

W nazwach podobnych przechowała się pamiątka starożytnych imion praojców naszych, a także wiele ich nazwisk i przydomków użytych w liczbie mnogiej np.: Kruki, Gacki, Kurozwęki, Sikory, Ślepowrony, Wojny, Zatory, Kossaki, Konopki itd. Do tej grupy nazw należą przeważnie wsie Kurpiów mazowieckich i wiele wiosek cząstkowej szlachty na Mazowszu i Podlasiu.

W nazwach wiosek tej szlachty pozostał widoczny ślad jej rozdrabniania się w dawnych wiekach. Nazwy te są zazwyczaj podwójne: jedna główna, ogólna, macierzysta, jest pierwotną i służy pewnej grupie a niekiedy i kilkunastu wioskom. Jest ona bowiem nazwą całej dziedziny, na której przez rozradzanie się i podział powstała większa liczba wiosek z oddzielnemi nazwami. Tak np. gdy ród noszący nazwisko Sikora odziedziczył kilkadziesiąt włók ziemi w okolicy Tykocina, przestrzeń ta została nazwaną Sikory. Gdy zaś posiadacz jej Mikołaj Sikora na początku 15 wieku podzielił dziedzictwo swoje między 6 ciu synów, którzy mieli imiona: Paweł, Bartłomiej, Tomasz, Piotr, Wojciech i Jan, a każdy założył oddzielną osadę, w której rozradzało się jego potomstwo, już więc pod koniec 15 w. widzimy 6 oddzielnych wiosek, mających obok wspólnej wszystkim macierzystej nazwy Sikory, drugą nazwę poszczególną, a mianowicie: Sikory Pawłowięta, Sikory Bartkowięta, S. Tomkowięta, S. Piotrowięta, S. Wojtkowięta i S. Janowięta.

Nazwiska szlacheckie z końcówką przymiotnikową tworzyły się potem tylko od nazw głównych. Np. Sikorowie od Sikor zostali Sikorskimi, Baczowie od Baczów Baczewskimi, Kossakowie od Kossaków Kossakowskimi, Roszkowie od Roszków Roszkowskimi. Niektórzy jednak jak Tyszkowie, Wojnowie, Konopkowie, Ładowie, zatrzymali swoje starożytne nazwiska w pierwotnej formie: Tyszka, Wojno, Konopka, Łada.

Do piątej i ostatniej grupy nazw wiosek zaliczyć trzeba wszystkie pochodzące od położenia topograficznego, od rzek, gór, lasów, drzew, błot, pól, kamieni, rodzaju ziemi, wreszcie wyników pracy ludzkiej. Mamy więc rozmaite: skały, góry, górki, podgórza, zagórza, chełmy (Wizna, pochodzi od wyżyny, na której leży to miasteczko). Mamy międzyrzec, porzecze, dwurzecze, brody. Mamy brzeziny, lipniki, brześć (las brzostowy), świdniki (las świdwowy). Mamy grądy (miejsca suche wśród błot), piaski, glinniki, suchodoły, kujawy, żuławy, pasieki, osieki, rudy, poręby, gródki, mogiły itd. Pierwotne gospodarstwo ogniowe, polegające na wypalaniu coraz nowego kawałku lasu, celem pozyskania na czas jakiś nowiny pod pług, przypominają nazwy:

żary, żarki, pogorzałki, przegorzały, pogorzel, praga, łomy (Łomża). Od nazwy drzewa dębu powstało 50 różnych form nazw miejscowych np.: Dąb, Dąbek, Dęby, Dąbie itd. Od wyrazu bór utworzyło się przeszło 30 odmian nazw. Od olchy, lipy, sosny, brzozy, gruszy, jabłoni i brzostu, po kilka i kilkanaście. Wielu nazwom dało początek błoto i kał (czyli miejsce błotniste, kałuża). Kał, kałuża jest źródłosłowem starożytnej nazwy Kalisza, o którym wspomina już w drugim wieku po Chrystusie uczony geograf i astronom Ptolomeusz, wymieniając miasto Kalisia, jako stolicę plemienia Ligeów, leżącą na drodze od Karpat do Bałtyku, i naznaczając mu prawie ten sam stopień geograficzny, pod którym leży dzisiejszy Kalisz. W codziennej praktyce mówienia, przez ciąg wieków, wiele nazw uległo skróceniom, i przemianom, zwłaszcza odkąd przestano pojmować pierwotne znaczenie wyrazu. Tak: Żarnowice przeszły na Żarnowiec, Gawarce na Gawarzec, Wojciece na Wojcin i t. d. Niekrytyczność sądu, nieznajomość dawnych stosunków, brak pojęcia o słowotwórczości językowej, spowodowały, że w nowszych czasach zaczęto wyprowadzać początek nazw z ich dźwięków i podobieństwa do innych wyrazów. Np. Cieszyn wywodzono od uciechy, Iłżę od: jej łzy, Wojnicz od wojny, Bydgoszcz od: obicia gości, Częstochowa od częstego chowania, a nawet w szkołach nauczano w 19 wieku, że Sandomierz, tak nazwany z powodu, że w jego okolicy San domierza czyli wpada do Wisły. Wszystkie podobne wywody są wprost nielogiczne. Najbogatszym zbiorem starych nazw polskich jest obok dyplomataryuszów, Liber beneficiorum Długosza z 15 wieku. O znaczeniu zaś nazw, pierwszy, lubo pobieżnie, pisał uczony prawoznawca Zygmunt Helcel, a po nim Tadeusz Wojciechowski na źródłach podobnych osnuł cenne dzieło swoje »Chrobacya.«

TYGRYS.

Do najdrapieżniejszych zwierząt dzikich należy tygrys. Ciało jego jest wysmuklejsze, więcej wydłużone niż u lwa, ztąd i ruchy jego więcej są giętkie. Wzrostem jest niższy, ale za to dłuższy, gdyż oprócz 80 do 90 centymetrów długiego ogona, długość ciała jego wynosi do 2 metrów. Wygląd jego jest wspaniały. Na grzbiecie ma sierć połyskującej, cynamonowo-brunatnej barwy, na bokach jaśniejszą. Spód ciała, policzki, wargi, podbródek i wąsy są białe; od grzbietu idą po bokach nieregularne czarne pręgi, tworzące na ogonie pierścienie. Policzki okala białawy zarost. Olbrzymie łapy, jako też budowa całego ciała zdradzają potężną siłę tego giętkiego i zwinnego zwierzęcia, którego oblicze i okrągłe oczy wyrażają przebiegłą chytrość i nienasyconą żądzę krwi, co połączone z niesłychanem zuchwalstwem, czyni z tygrysa niebezpieczniejszego wroga od daleko mniej krwiożerczego lwa. Nie jest on klęską, lecz okropną plagą dla okolic w których obiera sobie mieszkanie, choćby pojedyńczo. Głównem miejscem jego pobytu są Indye, południowe Chiny i niektóre większe wyspy Indyjskiego archipelagu: ku zachodowi dochodzi do gór Kurdystanu, ku północy i wschodowi do Mandżuryi i do górnego obszaru wielkich rzek Syberyi; nie rzadko też bywa napotykany nad jeziorem czyli morzem Aralskiem.

Wspaniały widok przedstawiają rozsiane do koła kępy lasów, nadające trawnym stepom na Jawie postać sztuką wytworzonych parków; lecz podróżny nawet we dnie nie śmie w nie się zapuszczać bez licznej eskorty. Często konie nagle się zatrzymują i zaczynają drżeć całem ciałem, jeśli droga prowadzi koło gęstwiny, gdyż delikatnym

swym węchem wietrzą zaczajonego w pobliżu tygrysa. Skoro pawie, trzymające się tutaj stadami w trawie, przy szybko następującym zmroku zaczną wydawać nieharmonijne swe głosy, wtedy krajowcy powiadają że »zwiastują godzinę w której tygrys opuszcza swoją kryjówkę« i zamykają się w swych mieszkaniach, ponieważ krwiożerczy potwór krąży w pobliżu. W nocy słychać od czasu do czasu jego ryk straszliwy, któremu niekiedy towarzyszy wrzask pawi. Nawet wewnątrz daleko od siebie na stepie rozsianych wiosek, pomimo wysokich, mocnych palisad i starannie utrzymywanych ognisk strażniczych, mieszkańcy nie czują się zupełnie bezpiecznemi. Gdy Junghuhn w Sierpniu 1851 roku znajdował się w Tjurug Negteg, nie jedna tam rodzina była okryta żałobą, a jednostajna, pusta okolica i przygnębione usposobienie ludności, trapionej przez nędzę i tygrysy, wywarły takie wrażenie na przyrodniku, że spiesznie opuścił tę okolicę.

Tygrys duszący na stokach Himalayów lotnonogą antylopę, na pustych, piasczystych wybrzeżach Jawy rozdziera powolnego żółwia, wychodzącego o zmroku z morza dla złożenia jaj w nadmorskim piasku. Często dzikie, czy też zdziczałe psy rzucają się na olbrzymiego żółwia; szarpią go na kawały, pożerając mięso, wnętrzności i jaja. Wtedy wypada z lasu pan pustyni, zatrzymuje się na chwilę, przegląda iskrzącym wzrokiem wybrzeże, cicho się skrada i potężnym skokiem rzuca się z głuchem warczeniem pomiędzy strwożoną i w dzikim popłochu uciekającą zgraję. Polowanie na tę królewską zwierzynę stanowi najcelniejszą rozrywkę indyjskich książąt, lecz łowiecki ich zapał nie posuwa się nigdy tak daleko, aby zapomnieli o zabezpieczeniu własnych, dostojnych swych osób. Na kilku drzewach, w wysokości do której żaden największy skok tygrysa dosięgnąć nie może, buduje się wygodne rusztowanie dla dostojnego pana, który na dzień naznaczony przybywa w licznem otoczeniu. Rozpoczyna się obława; użyci do niej bywają biedni wyrobnicy, poddający się nader niechętnie przymusowej tej służbie, tem niebezpieczniejszej, że ich ustawiają pojedynczo, w długiej, rozciągniętej linii, zamiast ich zbierać do kupy, coby im zapewniało względne bezpieczeństwo. Obława rusza ze strasznym wrzaskiem, biciem w bębny, trąbieniem i strzelaniem z pistoletów. Z początku, nagle zbudzone z dziennego snu tygrysy ustępują przed naganką, ale wkrótce domyślają się zasadzki i zwracają się na obławę. Biada wtedy nieszczęśliwemu, którego na swej drodze napotkają! Niekiedy jednak odważają się przebyć w szalonych skokach niebezpieczeństwem grożącą przestrzeń i rzadko tylko ta ucieczka się nie uda, ponieważ źle skierowane strzały powstrzymać jej nie mogą.



TYGRYS.

Europejczycy inaczej polują na tygrysa. Uzbrojeni w wyborne dubeltowe gwintowane strzelby, w towarzystwie dobrze uzbrojonych i hojnie opłaconych naganiaczy, ze sforą śmiałych psów idą w gęstwinę i sami szukają zwierza. Na przodzie idzie zwykle tak zwany szykar czyli główny naganiacz który pilnie badając ślady zwierza, znakami wskazuje kierunek jaki obrać należy. Po obu jego stronach postępują strzelcy, zawsze gotowi do strzału, a za niemi najpewniejsi ich ludzie z gotową bronią na zmianę. Potem następuje orkiestra (wprawdzie niezbyt harmonijna) składająca się z

ogromnego bębna, dzwonków i ciągłych strzałów z pistoletów. Orkiestrze tej towarzyszą ludzie uzbrojeni szablami i długiemi halabardami. Tylną straż stanowią inni, wciąż miotający w gęstwinę kamienie po nad głowami tych którzy postępują w pierwszych szeregach; kamienie te skuteczniej płoszą tygrysa, niż piekielny hałas orkiestry. Od czasu do czasu człowiek wdrapuje się na wysokie drzewo dla zbadania ruchu w wysokich trawach. Cała jednak myśliwska rzesza trzyma się ściśle zwartej kupy. Tygrys nie łatwo się odważa napaść na taką groźną i z takim hałasem następującą kupę ludzi. Nawet jeśli się odważy wykonać napad, to jednak z niejaką trwogą; zatrzymuje się w pewnej odległości, waha się i daje czas strzelcom do celnego strzału.

Tygrys lubi przebywać w wierzbowych zaroślach na mokrych gruntach, ponieważ w takich miejscowościach znajduje cień i chłód przy dziennym wypoczynku po zbojeckich swoich nocnych wyprawach. Nie łatwo go tam dostrzedz, ale inni mieszkańcy gęstwin, mianowicie pawie i małpy, zdradzają jego obecność.

Krzyk przerażenia pierwszych służy myśliwemu za nieomylną wskazówkę, że się tygrys podnosi ze swego legowiska, co się tem tłumaczy, że te ptaki, lubią również trzymać się gęstych zarośli; tam bywają często napadane przez małe tygrysięta, zaczynające się tym sposobem zaprawiać do łowów na własną rękę. Małpy, które w nocy tak często dają się podejść panterze lub wężowi dusicielowi, we dnie nie zapomną nigdy o obowiązku ostrożności. Nie pomylą się nigdy co do zwierzęcia kryjącego się w gęstwinie; jeśli to będzie dzik lub sarna, zachowują się spokojnie; lecz gdy to jest tygrys lub pantera, wówczas wydają wrzask ostrzegający towarzyszki. Jeśli przedzierając się przez gęstwinę ujrzymy spokojnie siedzącą małpę, możemy być pewni, że tam nie ma żadnego niebezpiecznego zwierza. W nocy, skomlenie szakali często też zwiastuje obecność tygrysa, gdyż stary szakal, któremu sił do łowów braknie, oznajmuje tygrysowi o obecności zwierzyny, za co mu tenże wypłaca się resztkami schwytanej zdobyczy. W ciasnych wąwozach Hindostanu, dosyć często podróżni bywają narażeni na napady tygrysów, albo wół lub koń pada ofiarą ich żarłoczności. Koń tak się lęka tygrysa, że nie podobna go zmusić, aby ku temu zwierzowi postąpił. Słoń przeciwnie, chociaż do najwyższego stopnia podraźniony, stoi spokojnie, a siedzący na nim człowiek może celnym strzałem uprzedzić groźny skok napastnika. Jeśli się to nie uda, wówczas i człowiekowi i słoniowi grozi największe niebezpieczeństwo. Ogromne łapy i potężna waga przedniej części ciała są powodem że największemu słoniowi tygrys może skoczyć na głowę i obalić go wraz z siedzącym na jego grzbiecie człowiekiem na ziemię. Wprawdzie rzadko mu się to udaje, gdyż słoń zrzuca go i depce nogami; w takim razie tygrys jest zgubiony; słoń miażdży go, albo łamie mu żebra, a potem odrzuca go na kilkanaście kroków; lecz często też słoń bywa straszliwie poszarpany, gdyż stary silny tygrys tak mocno czepia się słonia pazurami, że ten go strząsnąć nie może. W takim razie słoń rzuca się też na ziemię aby tygrysa zgnieść ciężarem swego ciała; wtedy ci, co się na grzbiecie słonia znajdują, zarówno są zagrożeni śmiercią od łap i zębów tygrysa, jak i od ciężaru ciała słonia.

WYNALAZEK SZTUKI DRUKARSKIEJ.

Dawniej były tylko książki pisane, których sporządzanie wymagało niezmiernie wiele czasu a zatem były też niezmiernie drogie; to też kto miał

kilkanaście książek, mawiał, że ma bibliotekę.

Sztuka drukarska jest jednem z największych dobrodziejstw cywilizacyjnych, a to dobrodziejstwo zawdzięcza świat Niemcowi, Janowi Guttenbergowi. Wielki to pokojowy wynalazek i tak doniosły, że Niemcy zupełnie słusznie uważają go za swoją dumę.

Jan Guttenberg, zwany zwykle Henne Gensfleisch von Sulgeloch, urodził się w r. 1397. W tym roku przypada zatem czterechsetna rocznica jego urodzenia. Po rozmaitych kolejach życia utrzymował w rodzinnem mieście Moguncyi od roku 1450 najprzód z Faustem, a potem z Szeferem najpierwszą drukarnię. Poróżniwszy się ze swoim wspólnikiem, urządził na własną rękę drukarnią, którą w r. 1465 oddał swojemu krewnemu i uczniowi Henrykowi Bechtermüntze. Tegoż roku Gutenberg wszedł do służby dworskiej elektora Adolfa II-go, lecz niedługo w niej przebył, bo już po dwóch latach umarł w Moguncyi, gdzie mu na placu, noszącym jego nazwisko, wystawiono wspaniały pomnik.

Czeladź Guttenberga rozeszła się po świecie, roznosząc z sobą dobroczynny wynalazek. W roku 1475 wydrukowano pierwszą książkę we Wrocławiu, w Pradze w roku 1478, w Wiedniu roku 1482. O dużo prędzej jednak, niż w Niemczech rozszerzyło się drukarstwo we Włoszech; w roku 1480 było w Niemczech drukarń 23, a we Włeszech 40; we Francyi było ich w tymże r. 7. W Węgrzech założono pierwszą drukarnię już w roku 1472, ale nim powstała druga, minęło lat sześćdziesiąt. W Krakowie wyszedł pierwszy druk dopiero w roku 1491 — w Moskwie aż 1564 roku. Nowy wynalazek roszerzał się tedy najpierw w kierunku południowym, potem w zachodnim, a nareszcie we wschodnim. Nie można z tego wysnuwać żadnych wniosków o większej lub mniejszej pochopności tego lub owego kraju do książek. Zależało to od przypadku, w którą stronę powędrował kto z czeladników pierwszych drukarzów niemieckich; inaczej bowiem drukarnia nowa powstać nie mogła z początku. Z Paryża n. p. już w roku 1455 dopytywano się w Moguncyi o nowy wynalazek, — ale oczywiście nie zdradzono tajemnicy i Paryż musiał czekać na drukarnię aż do roku 1470, aż czeladnik jeden tam się osiedlił. O pochopności do książek wnioskować można tylko dopiero z tego, jak prędko drukarstwo się rozszerzało w jakimś kraju, skoro już pierwszą drukarnię raz przybysz założył. Otóż pod tym względem Włochy stoją najwyżej, zaraz za nimi idzie Polska, a Niemcy dopiero na trzeciem są miejscu. W połowie 16-go wieku było już w Polsce prawie dwa razy tyle drukarń, jak w Niemczech; nawet małe miasta posiadały drukarnie, a polska czeladź drukarska zawędrowała aż do Hiszpanii. Wyzyskała tedy Polska sztukę drukarską do rozpowszechnienia oświaty należycie, biorąc pod tym względem przykład z Włoch, z tej kolebki ówczesnej cywilizacyi.

O ZABŁOCKIM I MYDLE.

(Dokończenie.)

VII.

Już w padł w niemieckie sidła,
Marzy o bańkach z mydła,
I wybiera z nich plony,
Sta, tysiące, miliony,
Które tak go zdurzyły,
Że już i dom niemiły,
I małżeństwo nie w głowie.
Kupił woły w Turowie,
Roił jakieś zakłady,
Przybrał Niemca do rady
Pan Bóg wie zkąd i po co?
A z niemiecką pomocą
Zrobił kuchnię z stodoły,

Rznie barany i woły,
I nie bacząc co ziści,
Na mydlane korzyści
Stracił cały kapitał,
Jeszcze długu nachwytał.
Warzy, mięsza i cedzi,
Choć się śmieją sąsiedzi,
On nikogo nie słucha,
A myśli w głębi ducha:
»Otoż będą pieniądze,
»Jak się całkiem urządzę!
»Jak mydełko uwarzę,
»Przedam funt po talarze!
»Tóżto ludziska prości
»Pękać będą ze złości!«
Aż tu... słyszą ludziska,
Że z pod kotła, z ogniska
Wicher iskrę wyniesie,
Buchnął ogień na strzesie,
I spłonęła stodoła.
Zginął krwawy pot czoła!
Zabłocki zły do licha...
Niemca z domu wypycha
I oblicza swe straty...
Gdzie zarobek bogaty?
Gdzie stodoła? gdzie zboże?
Gdzie bydełko w oborze?
Ot porznięte, mospanie,
Krówki tłuste jak łanie,
Woły jak się należy,
Jak żubry z Białowieży,
Wszystko siwe wspaniale
Ukraińskie rogale.
Coś tam jeszcze z pożaru
Ocalało towaru,
Ale towar ladaco.
»Cóż mi ludzie zapłacą? —
»Talarków sto, czy dwieście,
»Niech i trzysta nareszcie,
»Zawsze mało, ej mało,
»Gdy się tyle wydało!
»Dwa tysiączki, niestety!
»Dobrej, czystej monety,
»Bitej jednym kalibrem
Po dziewięć złotych srebrem.
»Ej biadaż mi, ej biada!
»Marnie zginąć wypada,
»Wstyd, ubóztwo i zakał!« —
I Zabłocki zapłakał.
Bo już strata to strata,
Lecz boleśniej do kata
Przyjść samochcąc ku zgubie..
Prawda, panie Jakóbie?

VIII.

»Panie ojcze! — rzekł w biedzie —
»Miłościwy sąsiedzie,
»Choć już liczę dopióro
»Lat pięćdziesiąt i z górą,
»Lecz duch jeszcze młodzieńczy,
»Miłość serce aż dręczy;
»Chciejże spełnić me szczęście,
»Daj mi córkę w zamęźcie.«

Tak Zabłocki powiada,
Klęcząc u nóg sąsiada.
Ale sąsiad ciemięga
Skrytych myśli dosięga,
A więc śmiało odpowie:
»Ej! nie żona ci w głowie, —
»Jeno myślisz, junacze,
»Że ci posag przeznaczę,
»Że ci grosza dostanę
»Na twe bańki mydlane.
»A gdzie byłeś w tym czasie,
»Gdyś miał grosze w zapasie,
»Póki chata bogata,
»Dobre imię u świata?
»Dziś, straciwszy kapitał,
»W dziewosłęby zawitał
»I uroił dziad stary,
»Że mi weźmie talary,
»Że mi córkę wyłudzi!
»Chyba na śmiech u ludzi?
»Idź do licha wasindziej,
»Szukaj sobie gdzieindziej
»I małżonki i grosza!«
Tak dostawszy odkosza,
Rzekł Zabłocki sam w sobie:
»Jeszcze jakoś to zrobię, —
»Jeszcze bieda nie bieda,
»Gdy mydełko się przeda,
»I po ciężkiej nauce
»Grosz inaczej obrócę...«

O! na wszystko jest rada,
Więc swój towar układa
Do podróżnej kolasy,
I przez góry, przez lasy,
Przez jeziora i rzeki
Rusza na świat daleki.
I kieruje rumaki,
Kędy widzi dwór jaki,
Lub zaścianek, lub wioskę,
Kędy słyszy pogłoskę
W jakiej wiosce czy mieście
O jarmarku lub feście.
Tam na środku kiermasza
Ludzi k' sobie zaprasza,
I wmówić im się stara,
Że funt mydła talara
To jest wcale niedrogo;
Lecz nie złudził nikogo,
Bo był towar ladaco.
Ludzie nic mu nie płacą,
Jeszcze wstydzić się musi,
Bo na Litwie, na Rusi,
W całej Polsce, na Żmujdzi
Już był pośmiech u ludzi,
Aż mu słuchać obrzydle
O Zabłockim i mydle.
»Daj tu radę z prostotą! —
»A mydełko jak złoto!
»A wonniejsze od róży!
»Choćby zginąć w podróży,
»Przedam towar w Kijowie,
»Aż mi będzie na zdrowie!

»To nie naszym odpustem,
»Tam słyszę ludzie z gustem
»I nie z taką kieszenią,
»Tam nasz przemysł ocenią.«
O! na wszystko jest rada.
Więc swój towar układa
Do podróżnej kolasy,
I przez góry, przez lasy,
Przez jeziora, przez rzeki,
Rusza na świat daleki.
Tak wesoło, wygodnie
Jechał cztery tygodnie,
Stracił złotych ze dwieście
I dojechał nareszcie.
Wesół z bicza wypali;
Kiedy spojrzał z oddali
Na kijowskie wieżyce,
To aż skoczył na bryce,
Aż mu serce podrasta.
Rusza tedy do miasta,
A to była już zima,
Lód na rzece się trzyma,
Droga po nim ubita,
Więc się o nic nie pyta,
Lecz w boki się podeprze,
Rusza lodem po Dnieprze.
Już się pod brzeg pomyka,
Wtem lód pęka — i bryka,
I mydełko, i konie,
I Zabłocki już tonie.
»Gwałt! ratujcie z otchłani —
»Święci Pańscy wybrani!« —
Krzyknął biedny w rozpaczy;
Wtem się o lód zahaczy,
I gdy zguba już blizka,
Wyskoczył z topieliska.
Wybrnął drżący jak listek;
A koniki, wóz wszystek,
I mydełko ciekawe —
Poszło rybom na strawę.
Klasnął w ręce rozpacznie
I rozmyślać tak zacznie:
Wołać ludzi z pomocą?
Ale nie ma już po co,
Dnieprowemi odmęty
Wóz się strzaskał na szczęty;
A choć szczęty dostanę,
Mydło poszło na pianę.
W domu czeka... cóż? nędza,
Dziedzic z gruntu wypędza,
Bo już mija dwa lata,
Jak o czynsze kołata.
A co doma... to marnie...
Bo wierzyciel zagarnie.
Czy na Litwie człek zginie,
Czy to w cudzej krainie,
Wszystko jedno; gdzie ruszy,
Gdy bez grosza przy duszy,
Kiedy starość przygniata,
Pośmiewisko u świata.
W jednej przemokłej szubie,
Żebrak.. panie Jakóbie!

IX.

Zachorował od żalu,
Wzięto go do szpitalu;
A gdy niemoc omija,
Kupił torbę i kija,
Gdy niemożna inaczej,
Począł żywot żebraczy.
Ale mało co zyska,
Bo już z jego nazwiska
Nawet w samym Kijowie
Było znane przysłowie.
Każdy w śmiechy i kwita,
O mydełko się pyta,
Wybadywa go ściśle
O niemieckim przemyśle,
Naszydzi, naurąga,
Lecz nie rzuci szeląga.
Otóż i zysk i sława,
Kto się z obcym zadawa,
Kto na Litwie lub Rusi
Ich się zyskiem spokusi.
Lecz cóż? i gadać szkoda!
Obcy zwyczaj i moda
W większym u nas honorze
Niż przykazanie boże.
Doma chwast i pokrzywa,
Choć grunt niezgorszy bywa,
A my ze swym lemieszem
Na cudzą niwę śpieszym.
Tylko zmęczym się pracą,
A zarobek ladaco;
Giną młodzi i starzy —
Dmucha, kto się oparzy —
Mądry Polak po zgubie...
Prawda, panie Jakóbie?

L. Kondratowicz (Wł. Syrokomla).

DOSKONAŁE LEKARSTWO.

(Dokończenie.)

Mateusz przestraszył się jeszcze więcej, w nocy spać nie mógł, jedzenie mu nie smakowało, jakiś niepokój ogarnął go całego, zdawało mu się, że jakieś nieszczęście zawisło nad jego głową.

— To nie bez kozery — powiedział sobie. — Coś się albo już stało, albo się stanie. Muszę ja dojść, co się w moim domu święci, niż będzie za późno.

Poszedł więc do młyna, aby wybadać czeladnika, ale ten nie miał czasu na gawędki; on, pomocnik i uczeń pełne ręce mieli roboty, a Mateusz zauważył, że choć pracują szczerze, nie mogę podołać wszystkiemu; ludzi z mlewem było wielu, inni zamawiali mąkę i krupy, drudzy odnosili pieniądze. Młynarz poznał, że nie idzie na młynie tak składnie interes, jak kiedy on tu po całych dniach siedział; i nie dziw: dwie doświadczone ręce majstra i jego bystra głowa wiele znaczyły.

Zuch jął pomagać swoim ludziom i ani się spostrzegł jak wieczór przyszedł, a on już drugi dzień nie był w karczmie. Następnego dnia wziął się Mateusz do rachunków, przeglądał je spokojnie w domu, bo cisza tu i spokoj panowały nie zamącone teraz. Tereska bowiem biorąc coraz częściej przesławne lekarstwo w usta, milczała jak ryba.

Zuch, rozejrzawszy się po rachunkach, jął się rozglądać po gospodarstwie całem; roboty wszędzie było pełno, Mateusz o karczmie prawie zapomniał; w ciągu tygodnia raz tylko tam poszedł, ale na bardzo krótko, bo dziwna zmiana żony pokoju mu nie dawała i do domu pędziła z powrotem.

Dotąd nie mógł znaleść przyczyny milczenia Tereski, przeto jeszcze skrzętniej rozglądał się po swej opuszczonej przez tak długi czas zagrodzie. Lecz im dłużej patrzał, tem cięższe czuł wyrzuty sumienia. Teraz dopiero po trzeźwemu rozpatrzywszy się wokoło siebie, spostrzegł, co się z jego gospodarstwem zrobiło, zrozumiał od razu, że pewna grozi mu ruina, że jeszcze niech czas jakiś potrwa jego nieobecność przy pracy, a zejdzie na dziady.

Jako znający się na rzeczy gospodarz, wiedział i to, że jeżeli już nie poszedł z torbami, to tylko dzięki pracy, oszczędności i zabiegom żony niezmordowanej, która jak mrówka pracowała i krzątała się bezustanku. Obok zgryzot i niezmiernego żalu, poczuł Mateusz wielką wdzięczność i cześć niemal dla żony a zarazem obudziła się w nim dawniejsza skrzętność i gospodarność; pragnął teraz powetować lata stracone na piciu i próżnowaniu, rad byłby choć krwawym potem odrobić zmarnowane tak niebacznie mienie.

Wziął się przeto ze wszystkich sił do pracy, nie folgując sobie ani chwili. Wśród tych zabiegów nie było czasu chodzić do karczmy, Mateusz zapomniał prawie, że ona w Kamionce istnieje. Tereska zaś, choć mąż już od kilku tygodni nie pił i nie waryował, gdy się pierwsza butelka onego doskonałego lekarstwa skończyła poszła zaraz po drugą, aby każdej chwili mieć ten wyborny środek pod ręką.



Jan Guttenberg, wynalazca sztuki drukarskiej.

Pan Doktor ucieszył się bardzo, że jego lekarstwo takie skuteczne, i dając młynarce drugą butelkę, bardzo ją za-

chęcał, aby w razie potrzeby, w razie najmniejszego nawet gniewu młynarza, zaraz lekarstwo w usta brała.

Minęły trzy kwartały; w domu Zucha zmieniło się wszystko do niepoznania. Mateusz przestał zupełnie chodzić do karczmy i pić, pracował i zabiegał, oszczędzał i pilnował gospodarstwa, jak jeszcze nigdy w życiu; pijaków zaś, graczy i próżniaków teraz dopiero nienawidził z całej duszy, patrzeć wcale na nich nie mógł, bo mu własny upadek przypominali i rumieńcem wstydu na samo wspomnienie onych czterech lat, tak haniebnie zmarnowanych, oblewała się twarz młynarza.

Razem z poprawą Zucha, zaczął wracać dobrobyt w dom, miłość i szacunek ludzki. Tereska odzyskała dawną wesołość i mowność, tylko z mężem nigdy się nie sprzeczała; tak nawykła do milczenia, że skoro Mateusza ujrzała zachmurzonego, w złym humorze, lub niecierpliwości, zaciskała zęby i wychodziła z izby, nic nie mówiąc. Teraz już nawet bez lekarstwa w ustach umiała milczeć.

Mateusz kochając zawsze żonę szczerze, teraz kochał ją coraz więcej i ogromnie szanował; obchodził się z nią z wielką łagodnością, troskliwy był i uważający na każde jej skinienie, hamował bardzo starannie swoją przyrodzoną gwałtowność, a radość i zadowolenie, że Tereska jest jego żoną, okazywał jeszcze większe niż w pierwszych czasach po ślubie. Szczęście więc zajaśniało małżonkom na nowo, a tem bardziej cenione i milsze, że oboje poznali się na wartości świętej miłości i zgody małżeńskiej.

Ludzie, jak pierw pijaństwu i hultajstwu Zucha, tak teraz jego poprawie się dziwili okrutnie i robili różne domysły. Stare kumoszki utrzymywały z wszelką pewnością, że urok, jaki ktoś rzucił na młynarza, zadany był na cztery lata, po przejściu których, Mateusz wrócił do normalnego stanu i był znowu tem, co dawniej człowiekiem. Tłomaczenie to zmiany Mateusza z urwisza ostatniej próby, na uczciwego człowieka, wydało się wszystkim bardzo mądre. Znaleźli się wszelako tacy, którzy mieli pewne wątpliwości; ci pytali ciekawie Tereski, co się to z jej mężem stała za przemiana, ale młynarka milczała uporczywie, nie dając znać po sobie, co o tem myśli, a zachowywała się tak, jakby się około niej nic nie zmieniło.

Dopiero w późnej jesieni, w wigilią św. Marcina, wyjęła najtłuściejszą gęś wpakowała ją do kosza i poszła do miasteczka, prosto do mieszkania młodego lekarza.

Ledwo stanęła na progu, doktor poznał ją zaraz i zapytał z uśmiechem:

— Witam was, młynarko! Jak się macie? A jakże tam waszemu, czy znowu po lekarstwo?

— A gdzie zaś, wielmożny panie doktorze! Mój, dzięki Bogu, zdrów, jak rzepa! Dyć druga butelka lekarstwa stoi nietknięta w skrzynce. Ja tu dziś przyszłam niby... żeby oto...

— To mnie bardzo cieszy — przerwał doktor — że wasz mąż już zupełnie wyleczony. Ale dobrze, żeście przyszli, bo mam wam tu coś do oddania.

Tu pan doktor otworzył biórko, wyjął dwa dukaty i podając je Teresce, rzekł:

— Oto, moja kobietko, wasze pieniądze, któreście zostawili u mnie za lekarstwo. Kiedy młynarz już zdrów jak rzepa i wy lekarstwa brać nie potrzebujecie, to wam mogę powiedzieć, że ono nic nie kosztuje.

— O rety! Co też to pan doktor mówi! Takie doskonałe lekarstwo miałoby być za darmo? Toć ono już się tak przytrafiło mojemu i pomogło na jego chorobę, że...

— To lekarstwo, to była czysta woda — przerwał doktor z uśmiechem — i nie ona pomogła waszemu mężowi, moja młynarko, tylko wasze milczenie. Mając wodę w ustach, nie mogliście się kłócić, wyzywać i przeklinać męża; a on nie drażniony, wnet się uspokajał, mając zaś spokój w domu, nie uciekał do karczmy. Musiałem jednak przed wami wodę nazwać sławnem lekarstwem, bo inaczej nie bylibyście

mi wierzyli i usłuchali, że tylko milczeniem możecie poprawić męża. Boć to przecie wiele kobiet myśli, że najlepsze lekarstwo na złego męża, to obrotny, biegły język; że przeklinaniem, wyzwiskami, krzykiem męża łajdaka naprawi. Wy jednak przekonaliście się sami, że to nieprawda; owszem pokazało się na was, że milczenie, łagodność, dobroć, wyrozumiałość lepiej na pijaka skutkują.

Młynarka słuchała z wytrzeszczonemi oczyma, uszom własnym nie wierząc; nareszcie po dobrej chwili, gdy doktor zamilkł, spytała z wahaniem:

— A nie żartuje też sobie pan z prostej kobiety?

— Ale zkąd znowu! Najszczerszą prawdę wam mówię. Weźcie oto wasze dwa dukaty i...

— O! nie! nie! — przerwała żywo Tereska — Niech pan nie gardzi tem, co z całego serca dałam... Ja tu oto gąskę przyniosłam... niechże pan doktor nie gardzi... My prości ludzie, nie umiemy składnie dziękować i wyraźnie pokazać, jak nam na sercu, ale nam bardzo radośnie w duszy, skoro się możemy odwdzięczyć... Niech pan doktor nie gardzi... Gąska »galante« utuczona; a ilem razy kluski jej w gardziel pchała, zawsze myślałam o panu doktorze... Niechże pan nie gardzi...

Na takie dowody wdzięczności nie mógł doktor pozostać obojętnym; poczuł coś, jakby łzy w oczach, więc odbierając gąskę od Tereski, mówił z uśmiechem, ale bardzo wzruszony:

— Ja, moja dobro młynarko, wcale nie gardzę waszemi darami... Owszem, z radością przyjmuję gąskę, którą tuczyliście z myślą o mnie; serdecznie cieszy mnie waszą pamięć i wdzięczność. Lecz za wodę, dwóch dukatów przyjąć nie mogę; aby was jednak nie martwić, ofiarujemy dukaty dla ubogich, których tak wielu w naszem miasteczku. I tak wszyscy będziemy radzi i zadowoleni: wy macie zdrowego męża, ja tuczną gąskę, a ubodzy dukaty. Jeszcze raz wam dziękuję za pamięć o mnie i zapewniam was, że porówno z wami się cieszę, moja młynarko, z nawrócenia Mateusza.

Tereska z wdzięcznością ucałowała rękę doktora i z rozjaśnioną radością twarzą opuszczała jego pokój, widząc, że gąska powędrowała do kuchni, a dukaty wpadły do skarbonki dla ubogich.

Idąc zaś szybkim krokiem ku domowi, tak sobie prawiła po drodze półgłosem:

— Jednak niema to, jak się udać do uczonego doktora!... Taki mądry pan na wszystko znajdzie sposób!... Nie tak, to siak, a zawsze poradzi. Daj mu Panie Boże, zdrowie i długie życie!... Ale żeby mu aby gęś smakowała!... Ta gospodyni gotowa jej zaraz nie zabić... bo to w mieście nie są niewiasty tak znające wedle gęsi, jako my na wsi... Rety! dopierożby mi dała... coby sobie pan doktor pomyślał o mnie... Jużci nic, jeno żem się przechwalała. Jak ją kilka dni potrzyma żywą, na nic schudnie... toby dopiero było... Prawie trzeba mi było doktorowi powiedzieć? Szkoda byłoby gęsi... Wątrobę powinna mieć, jak talerz... tocem jej klusek nie żałowała... Niechże mu będzie na zdrowie, doktorowi kochanemu!... Ale co znający, to znający... O okrutnie znający!

ROZMAITOŚCI.

* **Burgrabia** (z niemieckiego Burggraf), w Polsce urząd podrzędny. Burgabia grodowy (po łacinie Burggravius capitanei) należał do urzędników grodzkich i był mianowany przez kasztelana lub starostę, których zastępował i w nieobecności czuwał nad zamkiem. Widzimy burgrabiego w grodzie kaliskim r. 1305, człuchowskim r. 1356, w wieluńskim r. 1386. Ustawa z r. 1507 określiła bliżej jego obowiązki. Utrzymywał on w miastach i po kraju policyę królewską, z drabami grodowymi i miał ludzi swawolnych i podsądnych. Gdy starosta nie utrzymywał wojska a draby nie wystarczały na przywrócenie porządku, wtedy burgrabia brał w pomoc cechy rzemieślnicze. Jeżeli na wsi miał co do czynienia z rozbójnikami lub łotrami, dopomagała mu szlachta. Burgrabia pilnował wykonania wyroków kryminalnych sądu grodzkiego i naprawiał zamek, do czego okoliczni mieszkańcy, którzy w razie niebezpieczeństwa znajdowali w nim schronienie, obowiązkową dawali

pomoc. Burgrabia miasta Gdańska mianowany był przez króla z rajców miejskich, odbywał niektóre sądy, czuwał nad dobrami osieroconemi i rzeczami wyratowanemi z rozbitych okrętów. Podobne obowiązki musiał spełniać burgrabia miasta Rygi, ustanowiony na zasadzie ugody z dnia 28 Listopada 1561 r. pomiędzy królem Zygmuntem Augustem, a Kettlerem, mistrzem kawalerów inflanckich. Burgrabiowie zamku krakowskiego należeli do urzędników ziemskich, województwa krakowskiego; postanowieni przez Kazimierza Wielkiego, pobierali wynagrodzenie z żup królewskich. Było ich w wieku XVI dziesięciu, a w wieku XVIII dwunastu. Władzy żadnej nie mieli lecz prawa tylko żołnierskie zwykłych strażników zamkowych, a obowiązek obchodzenia zamku w pewnych godzinach dnia i nocy osobiście lub przez zastępców. A jednak urząd ten uważany był za zaszczytny ze względu na majestat królewski i tradycye narodowe zamku wawelskiego z jego katedrą, grobami królów i skarbcem mieszczącym w sobie klejnoty koronne. Uchwała z r. 1562 zabrania dawać urzędu tego kasztelanom i wogóle urzędnikom ziemskim, ponieważ burgrabiowie zamku krakowskiego mając ciągły dozór nad zamkiem zostali uwolnieni przez Wł. Jagiełłę od pospolitego ruszenia. Burgrabia mógł tylko na 3 miesiące w roku oddalać się z zamku, biorąc pozwolenie od starosty krakowskiego, który był bezpośrednim przełożonym burgrabiów. Mianował ich król a odebrać urząd mógł tylko sejm. Po przeniesieniu stolicy z Krakowa do Warszawy za Zygmunta III, burgrabiowie krakowscy do 1795 r. zostali więcej dla pamiątki majestatu i zachowania prawa, niż z potrzeby.

* **Kilimek.** Kilim w języku perskim oznacza niewielki postrzygany kobierzec, jakiego używają Turcy do posłania na ziemi dla siedzenia, jak również gruby płaszcz używany przez derwiszów. Nazwa i rzecz przeszły do Polski podczas ciągłych jej stosunków ze Wschodem. »Co za ojców naszych była gunia, to teraz kilim, derha«, powiada pisarz XVI. wieku. Podług Knapskiego kilim, kilimek oznaczał derkę robioną grubo z włosienia do nakrywania koni. Następnie nazwa ta została stale przyjętą w języku polskim na oznaczenie kobierczyka do przykrywania skrzyń, ław, zydlów, stołów, tłomoków, łóżek, siedzeń na wozach i t. d. Kilimki (niepostrzygane) i rańtuchy barwiste wyrabiane były w Polsce przez niewiasty na krosnach domowych, dawniej po dworach szlacheckich a dziś jeszcze przez lud wiejski, na Rusi, Mazowszu, Podlasiu, Żmudzi i w innych okolicach.

FRASZKI.

* **Wyjmij** rękę z kieszeni!...

— Nie mogę, proszę pana profesora, bo mam dziurę i muszę trzymać jabłko...

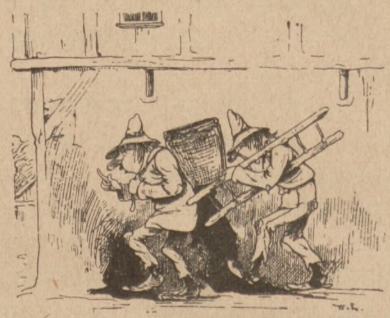
* **Przy egzaminie.** Inspektor: Jaki kształt ma nasza ziemia?

Jaś: Ziemia jest w dzień powszedni okrągła, a w święto czworograniasta.

Inspektor: Jakto?

Jaś: A bo pan nauczyciel mówił nam, że ziemia jest taka, jak jego tabakierka, i pokazywał nam okrągłą — ale pan rektor nosi ją tylko w dni powszednie — w święto zaś czworograniastą.

Niemiła niespodzianka.



Złodziej: Wyprawa nam się uda bratku, tylko ostróżnie!



Złodziej: Ja wejdę, a ty pilnuj i daj znak, gdyby było niebezpieczeństwo.



Żandarm: Zastąpiłem twojego towarzysza i czekam na ciebie, aby cię zabrać do więzienia.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 15-go Lipca 1897. Nr. 28.

„Swiatło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Koronacya obrazów Matki Boskiej.

Gdy w VIII wieku po Chrystusie powstała na Wschodzie sekta obrazoburców, papież Grzegórz III pragnąc utrzymać cześć obrazów i uprosić pomocy N. Maryi Panny przeciw grożącej Rzymowi wojnie, uwieńczył w roku 732 szczero-złotą drogimi kamieniami ozdobioną koroną głowę Matki Boskiej w obrazie i nad ołtarzem drugą podobnąż koronę zawiesił. Była to pierwsza koronacya, za którą poszły inne, zwykle jako ofiary i wota dla ubłagania łaski niebios lub podziękowania za dobrodziejstwa czynione. Pierwsza uroczystość koronacyi podług ułożonych przepisów odbyła się dopiero dnia 25 Sierpnia 1631 r. w bazylice Watykanu, za rządów Urbana VIII. Odtąd rozpowszechniły się koronacye cudownych obrazów Bogarodzicy we Włoszech, Morawii i Czechach. W Polsce, gdzie cześć Matki Boskiej cechowała religijne uczucia narodu od czasu zaprowadzenia chrześciaństwa, a rycerstwo nasze każdy bój z nieprzyjaciołmi rozpoczynało pieśnią »Boga-Rodzica« liczono w granicach Rzeczypospolitej roku 1768 przeszło sto cudownych obrazów Najświętszej Maryi Panny. Z tych najsłynniejszy na Jasnej górze w Częstochowie, ukoronowany został najpierwej. W dniu 8 Września r. 1717 Krzysztof Szembek biskup chełmski, wobec 200.000 pielgrzymów przybyłych z całej Polski, dopełnił po raz pierwszy tego obrzędu na ziemi naszej. Zaraz w roku następnym odbyła się koronacya obrazu Bogarodzicy w Nowych Trokach na Litwie, a w roku 1723 w Kodniu nad Bugiem w województwie Brzesko-litewskiem; w r. 1724 w Sokalu w województwie Bełzkiem; r. 1727 w Podkamieniu u OO. Dominikanów na Wołyniu (dziś w Galicyi); r. 1730 w Żyrowicach u OO. Bazylianów na Litwie; r. 1739 w Warszawie u OO. Kapucynów; r. 1749 u Dominikanów w Łucku; r. 1750 w Wilnie u Benedyktynek w kościele św. Michała; r. 1750 u Dominikanów lwowskich; r. 1752 dopełniono dwie koronacye: w Łąkach nad Drwęcą u Reformatów i w Leżajsku u Bernardynów; r. 1754 u fary w Chełmnie; r. 1755 w Skąpem u Bernardynów w ziemi Dobrzyńskiej i w Jarosławiu u Jezuitów w województwie ruskiem; r. 1756 w Berdyczowie u Karmelitów bosych w województwie kijowskiem; r. 1761 w Białyniczach u Karmelitów w województwie Witebskiem na Białorusi w powiecie Orszańskim; r. 1762 w Przemyślu u Franciszkanów; r. 1763 w Rzeszowie u Bernardynów; r. 1764 w Krakowie u Karmelitów; r. 1765 w Przemyślu u Dominikanów; tegóż roku w Chełmie w katedrze grecko-katolickiej; r. 1767 w Miedniewicach u Reformatów w ziemi Sohaczewskiej; roku 1773 w Poczajowie na Wołyniu; r. 1778 w Latyczowie u Dominikanów na Podolu; r. 1779 w Międzyrzeczu ostrogskim u Franciszkanów na Wołyniu: r. 1786 w Szydłowie na Żmudzi. Panowie i matrony polskie nie żałowały złota i klejnotów na korony do obrazów Królowej i patronki Polski, a pobożni pielgrzymi przybywali tłumnie na każdą taką uroczystość z całej prawie Rzeczypospolitej. Na uroczystość koronacyi przystrajano wspaniale kościół, wznoszono bramy tryumfalne, pielgrzymi z chorągwiami postępowali w przepisanym porządku, oddziały wojska towarzyszyły obrzędowi a muzyki i strzały działowe ogłaszały uroczystą chwilę koronacyi zebranemu ludowi. Na pamiątkę każdej koronacyi wybijano medaliki, które dziś należą do rzadkości numizmatycznych, bo pobożni którzy je nosili na piersiach, kazali się z nimi do grobu chować. W r. 1817 obchodzoną była uroczyście stuletnia rocznica koro-

nacyi N. Maryi Panny w Częstochowie, z udziałem stu tysięcy pobożnych przybyłych nietylko z Polski ale i z Czech, Węgier, Morawii, Śląska i Pomorza. W uroczystości tej przewodniczył Jan Paweł Woronicz, biskup krakowski i wzniosły wieszcz polski. Roku 1887 odbyła się koronacya obrazu cudownego Matki Boskiej na kalwaryi Zebrzydowskiej w obecności kilku biskupów, setek księży i więcej niż 100 tysięcy wiernego ludu.

Dobroczynne drzewo.

(Drzewo gumowe.)

Kiedy na wiosnę 1792 r. francuzki botanik de Labillardiere zwiedził wyspę Van Diemen, wtedy głównie zwróciły tam jego uwagę olbrzymie drzewa gumowe (Eucalytus), które wypełniają głębokie jary i parowy swojemi konarami, aromatyczną zaś wonią odświeżają powietrze. Już Labillardiere sądził, że drzewo to dobrze zniesie klimat umiarkowany i rządowi francuskiemu radził przedsięwziąć próby. Dopiero jednak w połowie bieżącego stulecia zwrócono bliższą uwagę na nieocenione zalety gumowych drzew australskich, które dziś są już hodowane we wszystkich krajach nad morzem Śródziemnem i kiedyś zmienią powierzchowność ich krajobrazu, tak jak ją zmieniły w starożytności pinie i jawory, od ery chrześciańskiej drzewa pomarańczowe, a niedawno kaktusy i agawy. Na szczęśliwych wybrzeżach tego morza rośliny charakterystyczne, niemniej często się zmieniały, jak plemiona ludzkie: Fenicyanie, Rzymianie, Goci, Maurowie.

Było to, jak powiedzieliśmy, w połowie naszego wieku, gdy botanik angielski dr. Hoocker i dyrektor ogrodu botanicznego w Melbourne dr. Fr. Müller obwieścili światu, że Eucalyptus australski jest największym w świecie roślinnym olbrzymem, że szczytami swymi przewyższa nawet słynne welingtonie kalifornijskie. Pempert Walcott odkrył w Australii zachodniej egzemplarz niebieskiego drzewa gumowego, który miał czterysta stóp wysokości, a pierwsze jego gałęzie zaczynały się na 300 stóp od ziemi; długo uchodziło to drzewo za najwyższe na ziemi; lecz później odkryto wiele innych, z pokrewnej odmiany pieprzowej, sięgających do 500 stóp, a więc wyższe od najwyższych dzieł ręki ludzkiej.

Im lepiej osadnicy australscy poznawali drzewo gumowe, tem więcej naglili swoich rodaków z Anglii, ażeby je przyswajali, zwłaszcza w okolicach bagnistych. Powszechnie mianowicie wystawiano osuszającą własność tych drzew, jako potrzebujących wiele wilgoci, i ważne ich znaczenie pod względem dostarczania materyału tak opałowego jak rękodzielniczego. Niebawem jednak przekonano się też, że drzewo gumowe swoim aromatem oczyszcza niezdrowe powietrze bagien, (malaria), a w liściach i korze posiada wyborny środek leczniczy przeciw febrze i cierpieniom dróg oddechowych. Napar z liści Eucalyptusa jest względem febry takiem samem lekarstwem, jak kora chinowa. Lekarz marynarki francuskiej Lydoux sprawdził to na licznych doświadczeniach.

Najpierw Anglicy odnieśli bardzo korzystne rezultaty z przyswojenia niebieskiej odmiany tego drzewa w osadach przylądka Dobrej Nadziei; klimat niektórych okolic zupełnie tym sposobem zmienili. To zwróciło uwagę Europy. Zaczęto robić próby i w naszej części świata, w paryzkim ogrodzie od roku 1860. Przekonano się najpierw, że drzewo istotnie rośnie bardzo szybko, i że potrzebuje nadzwyczaj wiele wody. Młode pędy przyrastają w ciągu roku o 1 metr długości, nawet więcej. Nad Lago Maggiore były przykłady, że jednoroczne drzewko dosięgało wzrostem dorosłego mężczyzny. Trottier zauważył, że odcięta spora gałąź, wstawiona w wodę, spożyła i wyparowała w ciągu 12 godzin 5 funtów wody; z tego można brać miarę, jak silną własność odwilgatniającą posiadają drzewa same, olbrzymy. Pokazało się jednak, że drzewo to nie znosi już paryskiego klimatu, że na zimę trzeba je było przenosić do cieplarni; skoro atoli bagna północne nie są tak mordercze jak południowe, przeto niemiłe na pozór odkrycie nie odbierało wcale drzewu jego hygienicznej misyi w klimatach cieplejszych, w delcie Varu, na błotach pontyńskich, maremmach Toskanii i t. p.

Mniej więcej o 55 kilometrów od miasta Algieru leży miejscowość Fonduk, z której wyziewy co lato zabierały liczne ofiary. Na wiosnę 1867 roku zasadzono tam 13 tysięcy drzewek gumowych i już tego samego lata, choć pnie były zaledwie na 3 metry wysokie, zauważono fakt niepamiętny od najdawniejszych czasów, a mianowicie, że nikt w całem mieście nie zapadł na febrę. Od tej pory klimat okolicy jest jak najzdrowszy, ale też taki rezultat można

było osięgnąć tylko taką rozległą plantacyą. Podobneż doświadczenie powtórzono niedaleko od Konstantyny, gdzie miejscowość Ben Machydlin stanowiła ciągłe źródło zarazy. Zasadzono 14 tysięcy drzewek. Z Korsyki i z wyspy Kuby nadchodzą zupełnie takie same wiadomości. Jeżeli we Włoszech nie otrzymano jeszcze tak wybornych jak w Algieryi wypadków, to pochodzi ztąd, że Włosi zbyt wiele rachują na małe plantacye, którym brak dostatecznej siły pochłaniającej.

Bądź co bądź dobroczynne to drzewo dzielnie się udaje w krajach położonych nad morzem Śródziemnem, za młodu rośnie ono tak szybko, że trzeba je podpierać. Co najwyżej sadzą je w Europie od lat dziesięciu, a już dotąd możemy spotkać w górnych Włoszech i w południowej Francyi pnie wysokie na 60 do 70 stóp. Korona drzewa nie jest gęsta i nie daje wielkiego cienia, co może pochodzi ztąd, że Eucalyptus, jak wszystkie prawie drzewa australskie, ma liście na ogonkach pionowo sterczące. Nie jesteśmy zresztą pewni, czy w Europie nie traci tej australskiej właściwości. Za to szczególną cechą drzewa, o którem tu mówimy, jest zmienność jego liści, okrągłych i blado-niebieskawych za młodu, a długich i zielono-błękitnych na starość. Kwiaty ma ono podobne do myrtowych.

Często dezinfekcyjne własności drzewa przypisują zwykle i zapewne słusznie, silnie aromatycznej woni jego liści wiecznie zielonych, woni przypominającej olejek lawendowy i kamforowy, ale jeszcze przyjemniejszej. Źródłem tego zapachu jest olejek eteryczny, który w wielu aptekach Europy południowej sprzedaje się pod nazwiskiem eukaliptowego olejku. Liści drzewa gumowego zażywają tam zarówno w medycynie ludowej, jak śród lekarzy wielkiej sławy. Mają zastósowanie pod różnymi formami ziółek, kataplazmów, nalewek wódczanych, tynktury itp. Od lat dziewięciu pojawiło się w literaturze lekarskiej mnóstwo broszur o tym nieocenionym środku leczniczym, dezynfekcyjnym i hygienicznym. Zresztą i leśnictwo może z niego ciągnąć wielkie korzyści. Las drzew gumowych może być w ciągu jednego wieku pięć razy wycinany. Mimo szybkiego wzrostu, drewno tego drzewa bywa bardzo twarde i wybornie służy nietylko na opał, ale słupy telegraficzne, maszty mogą być z niego doskonałe.

Najzręczniejszy złodziej na całym świecie.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Przed laty było kilka osób na herbacie w salonie gubernatora Moskwy, (carewicza). Rozmowa zboczyła do rzezimieszków. Carewicz utrzymywał, że najzręczniejsi złodzieje są moskiewscy. Ambasador zaś francuski uparcie bronił sławy złodziei Paryża.

— Dobrze, — odpowiedział carewicz ja pana przekonam tu w moim salonie, że nasi najzręczniejsi. Zanim pan wyjdziesz ztąd, będziesz pozbawiony zegarka; proszę, pilnuj go dobrze, zgoda?

— Zgoda!

Po godzinie czasu, pyta carewicz ambasadora:

— Która godzina!

Ambasador z przerażeniem spostrzega, że nie ma zegarka.

— Na Boga! książę! jak się to stało?... Nikt nie przyszedł, nikt nie wyszedł, rękę moją miałem na łańcuszku, nie poruszaliśmy się z miejsc naszych, jak się to stało?

Gdy goście ubawili się do syta zdziwieniem pana ambasadora, carewicz powiedział, że obecny w salonie oberpolicmajster zatelefonował do policyi, ażeby przysłali dobrego złodzieja. Ubrano go w pałacową liberyę, zawinął się w salonie raz, dwa przy usłudze i oto wasza ekscelencya nie masz zegarka.

Książę kazał zawołać złodzieja.

— Gdzie masz zegarek?

— Oto jest wasza Wysokość!

Ambasador podziękował, podziwiawiając zręczność i wyrzekł:

— Złodziej, nie złodziej, wart on nagrody — i sięgnął do portmonetki: a tu inne zdziwienie, wszystkie kieszenie puste!...

Złodziej zbladł.

Oberpolicmajster mówi:

— Ja tobie kazałem ukraść zegarek, a ty wyprzątnąłeś wszystkie kieszenie, oddaj wszystko.

Nie było rady, wygalowany złodziej wyłożył na stół pugilares, portmonetkę, złotą papierośnicę aż do dłubaczki do zębów i chustki... i było by może na tem skończyło się, gdyby wielki książę nie spostrzegł w tejże samej chwili, że i jemu brak zegarka, że i jego kieszenie wszystkie próżne!...

Czy rzezimieszek dostał 100 rs. »nagrody«, czy 100 pałek o tem ruskie gazety nie piszą.

Praktyczne rady.

— **Pranie kapeluszy słomkowych.** Kawałek czystej i dobrej flaneli, zwilżonej wodą, wyciera się dobrem białem mydłem, dopóki nie utworzą się obfite mydliny. Płatkiem tym wyciera się dobrze kapelusz na czystym stole i pierze tak długo, dopóki się nie zmyje wszystkiego brudu. Następnie płucze się kapelusz troskliwie czystą wodą, osusza się go płótnem, jednak tak, by był trochę wilgotny, a w końcu bieli w skrzyni do siarkowania.

Skrzynia taka urządza się w następujący sposób: Do beczki wstawia się na kamieniu lub blasze żelaznej siarkę i zapala; nad nią zawiesza się kapelusz, odwracając go od czasu do czasu, tak jednak, ażeby płomień siarki, kapelusza nie dochodził, a beczkę zaś z wierzchu szczelnie przykrywa. Po upływie pół godziny, kapelusz będzie dobrze wysiarkowany, a wtedy wyjmuje się go ze skrzyni i prasuje dla nadania połysku ogrzanem żelazkiem, podkładając papier.

— **Użycie łodyg z borówek do garbowania skór.** W niektórych okolicach Francyi i Belgii używają zamiast kory dębowej, suszonych łodyg Borówki Czernicy (Vaccinium Myrtillus) do garbowania skór. Do garbowania $^1/_2$ klgr. skóry potrzeba 3 klgr. kory zwyczajnej dębowej, podczas gdy $1^3/_4$ klgr. suszonych łodyg borówek wystarczy w tym celu. Skóra ma być nawet lepszą — a druga korzyść z tego zastósowania byłaby ta że w niejednym wypadku zaoszczędzałoby się o wiele lasy dębowe zwłaszcza młodociane.

Rozmaitości.

* **Nieszczęścia na morzu.** Ostatnia poczta przynosi szczegóły rozbicia się statków »Aden« i »Reinbeck«, o czem doniosły już telegramy. »Aden« wypłynął z Colombo w dniu 1 Czerwca; w dwa dni później podniósł się straszny orkan, który się wzmagał coraz bardziej, a d. 9-go Czerwca o godz. 3 rano okręt najechał na skałę »Ras Radressa« pod wyspą Sokotora. Woda niezwłocznie zaczęła zalewać statek, a panujące dokoła ciemności powiększały jeszcze grozę położenia. Pasażerowie przerażeni, zaledwie odziani, powybiegali z kabin na pokład; kobiety i dzieci płakały, mężczyźni stawali w osłupieniu wobec grożącego niebezpieczeństwa, a oficerowie i załoga napróżno usiłowali uspokoić pasażerów i uratować okręt. Niebawem przekonano się, że jedynym środkiem ocalenia są łodzie; gdy jedni majtkowie je przygotowywali, inni podążyli z narażeniem życia do kabin po ubranie dla znajdujących się przeważnie w bieliznie pasażerów. Orkan tymczasem szalał z coraz większą siłę, a wielkie fale zalewały pokład. Spuszczono kolejno trzy łodzie, lecz wszystkie porwane zostały przez rozhukane morze i zatonęły wraz ze znajdującymi się w nich marynarzami i zapasami żywności; jedną tylko, ostatnią, zdołano uratować i w niej umieszczono z największym wysiłkiem kobiety i dzieci. Trzy panie nie chciały wejść do łodzi, postanowiły bowiem zginąć wraz z mężami; pozostały też na pokładzie dwie misyonarki, panny Lloyds i Weller. Łódź niebawem zniknęła na falach i dotychczas niema o niej żadnej wiadomości — według wszelkiego prawdopodobieństwa zatonęła. — Orkan tymczasem wzmagał się coraz bardziej w ciągu dnia, a fale zmiatały z pokładu jednę osobę po drugiej. Około godziny 5 po południu pozostali pasażerowie zeszli na dół kabiny, wielu z nich było ciężko rannych — i tam spędzili straszną noc; nazajutrz morze uspokoiło się nieco, a kilku mężczyzn odważyło się pójść po prowiant. W dniu 13 dopiero ukazał się na morzu okręt, który wszakże nie dostrzegł sygnałów nieszczęśliwych rozbitków; następnie przepłynęły jeszcze okręty dnia 17 i 20 Czerwca, ale i te nie zwróciły uwagi na sygnały »Adenu.«

Tymczasem wicher zaczął się znów wzmagać a zapasy wyczerpywały się; rozbitków ogarnęła ostateczna rozpacz. Nareszcie dnia 25-go Czerwca wieczorem ukazały się na widnokręgu dwa okręty, z których jeden popłynął dalej, a drugi, — »Mayo«, zarzucił kotwicę pod wyspą Sokotora; z rozbitego statku dawano ciągle sygnały i o świcie dnia 26-go Czerwca podpłynęła do nieszczęśliwych łódź ratunkowa. Najpierw ocalono Europejczyków z załogi, a potem Indusów i prowiant i dnia 28 wszyscy zawinęli na pokładzie »Mayo« do portu Aden. Powodem nieszczęścia, — a dodać należy, że nie pierwszy to okręt rozbił się o wspomnianą skałę, — był brak latarni morskiej; niepodobna jakoby nakłonić krajowców do palenia ognia na wyspie.

Okręt handlowy »Reinbeck« wypłynął z Batumu z ładunkiem nafty do Ismidy i Smyrny, a porwany przez niesłychanie silny prąd uderzył o okręt ratunkowy »Berthilde« i został przedziurawiony. Kapitan, sądząc, że będzie mógł okręt uratować, odrzucił pomoc łodzi z okrętów austryackich, rosyjskich, włoskich i tureckich, które niezwłocznie udały się na ratunek i dopiero, gdy niebezpieczeństwo stało się bardzo groźne, zdecydował się pomoc przyjąć. »Reinbeck« zatonął w przeciągu kwadransa, a czternaście osób znalazło śmierć w falach. Nieszczęście przypisują gwałtownemu prądowi i przeładowanie statku.

Poczta Redakcyi.

Łąka w Galicyi p. Strazin ad Rzeszów. Prosimy przesłać swoje nazwisko.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.